



Stanisław Karolewski Bilet na Arkę, Szarlatan 2012

FRAGMENT I

Pamiętam szary przedświt w moim dzieciństwie, w lecie drugiej połowy lat osiemdziesiątych. Obudziłem się na żelaznym łóżeczku przywiezionym spod Krasieczyna z dawnego rodzinnego majątku. Wiedziałem, że coś się wydarzyło. Do pokoju wszedł Ojciec, nie było żadnego szarpania, szamotaniny i budzenia, jak co dzień przed wyjściem do przedszkola. Położył mi rękę na czole i powiedział:

- *Wstawaj. Stał się cud. Pobieźajmy pokłonić się Matce Bożej.*

Wzuwałem ubranie, spoglądając na rodzicielskie biurko. Lampka oświetlała papiery przez całą noc: mapę „Okolice Wrocławia”, rozkład jazdy PKP oraz plan Oławy dołączony do książki opisującej Wyzwolenie Dolnego Śląska w 1945 roku. Kolorowe strzałki oznaczały ruchy wojsk Armii Czerwonej i batalionów „Volkssturmu”, broniących miasta. Na mapach leżały: szkaplerz i wycięty z podziemnej gazetki opis objawień w Medzugorie. Całości dopełniał różaniec zwisający z

ziemniaka. Najwidoczniej wieść o objawieniu zastała Ojca na przygotowywaniu obiadu. W czasie, gdy ja przyglądałem się papierom, nad którymi Komendant gryzł się tej nocy, ten pakował nasze plecaki, wkładał do nich bidony wypełnione kwaśnym sokiem porzeczkowym i kanapki owinięte w ucięte woreczki od mleka.

Gdy wyszliśmy przed blok letnie słońce smagało już czubki drzew, a rozklekotane tramwaje ruszały w swój codzienny maraton. Nie mieliśmy jeszcze wtedy Zaporozca, którego ojciec pod koniec lat osiemdziesiątych kupił za bezcen razem z trzystoma czechosłowackimi lornetkami i kanistrem spirytusu. Tramwajem spod Twierdzy dawną ulicą Stalina, obecnie Jedności Narodowej, wyruszyliśmy na spotkanie z Matką Boską lub przynajmniej obejrzeć ziemię czy też ogrodową altanę, po której stąpała. Tramwaj zamieniliśmy na pociąg. Ojciec prawie biegł, ciągnąc mnie za sobą. Co chwila mówił:

- *Nie zgub się!*

A potem przeskakiwał nad słupkami wokół dworca lub z impetem otwierał drzwi do przedziału – nie posiedział w nim jednak długo, bo rzucił się do okna wyglądać napisów na mijanych stacjach i z radością oznajmiał, że się zbliżamy, że to już, zaraz, za chwilę, jeszcze moment, sekunda, prawie jesteśmy. Ten zwykle spokojny i nader zrównoważony człowiek, Fryderyk Pauszke, wiecznie kierujący się wskazaniem rozumu, dał się uwieść magii cudowności spływającej na nas w szarzyźnie tamtych dni. Jego zwykle wyważone ruchy nabrały gwałtowności, a przewidywalne kroki rozbiegały się na wszystkie strony. W czasie krótkiej podróży z Wrocławia do Oławy Ojciec zdążył być po trzykroć w ubikacji, dwukrotnie w restauracyjnym i z milion razy siadał na kanapie, to podchodził do okna w korytarzu. Zamykał je i otwierał. Zamykał i otwierał. Otwierał i zamykał, jakby jego ruchy mogły przyspieszyć bieg pociągu, wprawić w ruch kolejne koło, dzięki któremu moglibyśmy szybciej dostać się na miejsce przeznaczenia. Nie tracił przy tym swojej zwykłej rezolucji i werwy, z jaką szedł przez świat. Gdy przyszedł konduktor ze swoim służbowym:

- *Dzień dobry, bileciki do kontroli proszę*

Ojciec od razu mu odparował:

- *Hańbicie towarzyszu swoją Socjalistyczną Ojczyznę! „Bileciki” były dobre w czasach burżuazyjnej kolei i nierówności klasowej. W Polskich Kolejach Państwowych zniesiono już te zużyte formy!*

Po czym chwycił mnie za rękę i po prostu wysiadł z pociągu, który od dłuższej chwili stał. Wokół rozpościerały się pola macierzanki i chabrów, z których wynurzały się pierwsze miejskie zabudowania, a przez szyny przewalał się tłum pątników, jak my – żądnych metafizyki. Wdarliśmy się w tę cizbę, zostawiając zdziwionego konduktora samemu sobie, bowiem i z innych wagonów podróżni wychodzili, nie bacząc na niestosowność przedwczesnej rejterady i przyłączali się do pielgrzymów.

Święci przyjęli nas z radością. Pochłonęli nas w siebie, przygarnęli jak matka tuląca zagubione dzieci i – niczym żywa rzeka – powiedli nas nurtem ku morzu innego świata.

Ojciec szedł niemal przepychając się łokciami; gdy tylko dostrzegał wolny kawałek między krzyżowcami, wciskał się nie patrząc już na to, czy podążam za nim. Tratowaliśmy jakieś działki, których właściciele już dawno odpuścili. Przedzieraliśmy się pomiędzy jabłonkami a obsypanymi owocem czereśniami i parliśmy prosto na właściwe miejsce, by oddać pokłon Maryi Pannie. Gdyby tylko grób pański lub grób grobu zalegał pod tymi jabłonkami, pod zdeptanym szczypiozem i stratowanymi malwami, w jednej chwili siłą tysięcy rozmodlonych rąk wydarlibyśmy go historii, przywracając światu. Niechby Matka Boska pokazała się i kazała zrobić w Polsce porządek: wyrzucić czerwonych bandytów lub legendy Solidarności. Ogródki działkowe pod Oławą, a z nimi cała Polska spłynęłyby krwią. Na jedno kiwnięcie powstającego z martwych świętego Urbana II ruszylibyśmy nawracać Panów na Kremlu lub brukselskie wszy.

W pewnym momencie tłum zgęstniał i zatrzymał się. Bliżej nie dało się podejść. Utknęliśmy między kobietą w rozdeptanych półbutach a roześmianymi uczennicami. Z przodu widzieliśmy garb łysego i to właściwie było już wszystko. Gdzieś tam jeszcze majaczyły gałęzie orzecha z nieśmiało zawiązującymi się owocami. Słysząc było świerszcze, które przetrwały mimo tylu depczących je

nóg. Słońce przypominało, że to już lato.

Staliśmy tak minutę w całkowitej ciszy. Dziesięć minut. Kwadrans. Patrzyłem na wskazówki, które – gdy tylko koncentrowałem na nich wzrok – nie chciały drgnąć. Ktoś wydmuchał nos. Inny odkapslował butelkę. Zaszumiało piwo. Zaczęły się szepty, jęki, utyskiwania, rozmowy. Przeleciał bocian. Wreszcie od przodu, od strony niewyraźnej straży przedniej, dotarło do nas podniecenie oraz głosy wzywające tłum do rozstąpienia się. Fala nadziei przeleciała przez ciżbę. Między pobożne kobiety wdarł się potężny męski głos, który gdzieś tam z przodu opuścił świętą altanę i domagał się przejścia i uwagi. Zostaliśmy dociśnięci do pleców łysego, a potem tłum wypluł człowieczka odzianego w niegdyś białą komeżkę.

- *Zbiórka na Sanktuarium! Kto ma dzieciaka daje tylko piątaka! Kto Matce Bożej pożałuje, ten się w piekle ugotuje!*

Zawódł, niczym sprzedawca lodów w Międzyzdrojach, postanawiając najwyraźniej, że już pora rozpocząć zbiórkę, że już dostatecznie daleko odszedł od świętego wzroku Świętej Dziewicy:

- *Kto dziś Matkę Bożą wspomůže, temu Królowa drogę do rajy otworze.*

Za karłem podązał wąsaty basior z gongiem, którym potrząsał w rytmie na dwa.

Ojciec roześmiał się, widząc tę parę: Charliego i Chaplina, albo słysząc cudaczne wierszyki lub też tylko z sobie wiadomych powodów: rozpamiętując dowcip o ministrantach lub Panią Goździkową, która – chociaż ponoć była kobietą – wyglądała zupełnie jak większy zbir.

Będąc już właściwie za nami, ministrant odwrócił się i syknął:

- *Czego się śmiejesz? Daj stówkę na Kościół Matki Bożej Pokoju!*

Na co Ojciec ze swoim spokojem odparł:

- *Śmieję się na widok karła, który myśli, że Maryja nie ma co robić, tylko odwiedzać jakieś zasrane dziury!*

Tłum zafalował. Fala gniewu rozeszła się wokół, zataczając dalekie kręgi, a zbita masa skuliła się w sobie raz jeszcze tak, że zostaliśmy z orantami jakby na arenie.

- *Śmieję się, bo świeci słońce, a dobry Bóg nie odmawia nam swych błogosławieństw. Śmieję się, bo potrafie, śmieję się i Ty, gdy spojrzysz w lustro. Śmieję się widząc stado baranów, które daje się doić wieprzom.*

Duży zataczał krąg, chcąc przejść za nasze plecy, ale to nie było konieczne, bo coraz bardziej rozgniewana publiczność gotowa była sama się z nami rozprawić.

Ojciec przeczuł co się tu święci, bo powiedział głośno, ale jakby do siebie:

- *I chuj. Koniec objawienia.*

Po czym wyjął zza paska Browninga, z którym się wtedy nie rozstawał i tą samą ręką uniośł łańcuszek z ryngrafem maryjnym, wydartym spod flanelowej koszuli. Chwycił małego za komeżkę, podetknął pod wąs wizerunek z Ostrej Bramy, jednocześnie wciskając mu w policzek kolbę pistoletu i nadal, jakby szeptem, ale potężnie – by zaciekawieni, przestraszeni wierni usłyszeli:

- *Widzisz to?*

Mały przytaknął skinieniem głowy, nie wiedząc jak się zachować, ale Mojemu Staremu nie były potrzebne jego słowa, przytaknięcia lub ich brak, miał wszakże wokół publikę, przed którą mógł występować.

- *- Wiesz co to jest!? Wiesz co to jest? Milczysz. Powiem Ci. To symbol, to duma, to nasz narodowy skarb, na którym karaluchy, przebrzydłe wszy, ścierwojady –*

widziałem jak Ojciec smakuje każde wypowiedziane słowo, jak rozgniatą je na języku i delektuje się żywą reakcją tłumu. Kontynuował:

- *żuki gównojady, pchły, ślimaki ze swoim śluzem, puszczałskie prosięta takie, jak ty i twoi koleżkowie, chcą się utuczyć! Jesteście wieprzami! Żrecie! Do spółki z komuną doprowadziliście ten biedny kraj do upadku, a teraz jeszcze sięgacie po nasz honor, po historię, po wiarę! Mało wam było wszystko ukraść, rozpasane brzuchy każą wam zagarniać więcej i więcej, ale że nic już prawie nie zostało, chcecie wszystkich jeszcze mocniej zgnoić, zszargać, wdeptać w błoto!*

Tu pogroził pistoletem przybyłym na odsiecz kolegom „organizatorów imprezy” i ciągnął wciąż się upajając wrażeniem, jakie robi na rzadziejących zgromadzonych.

- *Mówicie, że objawiła się wam Przenajświętsza Panienska po to, by zebrać parę groszy!? Rugacie tradycję Ostrej Bramy i Jasnej Góry, na której Jan Kazimierz w Potopie przysięgał Matce Boskiej Królowej Polski! I to wszystko dla paru nędznych miedziaków?*

Z daleka dało się słyszeć wyjąca syrenę. Tłum wokół rozplynął się, pochłaniając w fali odpływu obu naciągaczy i ich kolegów, ale Ojciec wpadł w swój bojowy szał, znów sięgnął szczytów krasomówstwa, nie zważając na uciekającą publiczność, z której ostatecznie zostałem tylko ja.



Stanisław Karolewski Bilet na Arkę, Szarlatan 2012

FRAGMENT II

Nasz samochód dawno już przestał być po prostu Zaporozcem, ZAZ-em 968. Kupą blachy, która zjechała z taśmy w radzieckiej fabryce. Przez lata naszego użytkowania stał się: Nautilusem, Batmobilem, amfibią Pana Samochodzika, Astonem Martinem Agenta 007, pociągiem pancernym, a teraz przekształcał się w maszynę skonstruowaną przez Drużynę A. Bo poddając się dyktatowi szalonego umysłu mojego Ojca, zgodziliśmy się, by stworzyć zespół: Drużynę Arki, *Time* „A.” – zupełnie jak w serialu.

Nautilus nie umiał wprawdzie pływać, nie latał, z trudem osiągał prędkość dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę, za to był praktycznie niezniszczalny. Sądzę, że śmiało można było w nim przeczekać wyrastające w okolicy atomowe grzyby. Szyny, które wymontowaliśmy z nieużywanych torowisk nadawały kształt podwoziu, zaś reflektory dachowe przypominające zupełnie uliczne latarnie wieńczyły pokraczną sylwetkę. Ołowiane płyty przyspawane do karoserii eliminowały promieniowanie oraz chroniły nas przed skutkami kolizji drogowych. Uszczelki przy każdym wejściu i na rurze wydechowej sprawiały, że akweny wodne mniejsze od Bałtyku pokonywaliśmy po prostu, przejeżdżając po ich dnie. Wprawdzie nigdy nie wjechaliśmy w nic większego niż rozległa kałuża, bo Ojciec bał się, że zbyt ciężki samochód po prostu utknie w błocie na brzegu, ale za to toczyliśmy piękne dyskusje, wielogodzinne spory nad możliwościami podróżowania po dnie mórz i oceanów. Co przepowiadało nasz los: karierę potomków Lameka.

Czy Ojciec czuł się Noem? Czy przypominał biblijnych patriarchów? Czy może był podobny do Adama, który dał początek całemu rodzajowi ludzkiemu? Czy Bóg przemówił do Fryderyka? Na pewno nie w jakiś szczególny sposób. Może i rozmawiali, ale nie inaczej, niż każdy z nas może z Nim porozmawiać tj. na zasadzie: „*Gadał dziad do obrazu, a obraz do niego ani razu*”. Może Fryderyk przemawiał do Boga a ten odpowiadał mu w śpiewie wiatru i na dnie serca, ale z pewnością nie było ponownie płonącego krzaka na dachu naszego bloku, ani świetlistej sylwetki anielicy z mieczem w dłoni. Na Twierdzę nie spłynął piorun rozkoszy ani przerażenia. Spokojne dni i ciche noce upływały nam bez wspaniałych lub przerażających znaków.

Ojciec obserwował tryby czasu mielące codzienność. Z ekskrementów medialnych faktów wybierał te, które były dlań istotne i w którymś momencie dotarł do wniosku, że cywilizację czeka zagłada.

Opowiadały mu o tym rzeczy zdawałoby się błahe i bez znaczenia: podkreślał w gazetach krótkie notki z ostatnich stron lub wydierał kartkę zawierającą „ogłoszenia drobne” i pieczołowicie składał do archiwum, nanosząc na nią szereg cyfr. Drukował artykuły z ezoterycznych witryn. Badał doniesienia ornitologów i epidemiologów. Przyglądał się kronikom przylotów i odlotów na warszawskim Okęciu oraz długości spódnic stewardes i naturalnie wyzierającym spod nich nogom.

O bliskim końcu mówiły mu przelatujące przez Twierdzę dzikie sowy – w pradawnym języku oznajmiające rzeczy minione i przyszłe, niosące błogosławieństwa i twogę. Kres kresów czaił się pod kapslem – z sykiem odskakującym z butelki. Apokalipsę przepowiadały gwizdy lokomotyw sunących torowiskiem za Górką Słowiąską. Dzień Sądu nadchodził dzięki łotrom, zdrajcom i szubrawcom pozwalającym, by stare przepowiednie nabrały mocy czynienia. Armagedon zwiastowały odrzutowce zostawiające na niebie podłużne i trwałe chmury, zarządzenia wprowadzane na terenie Europejskiego Sojuza – jak zwykł mawiać o Unii Europejskiej - oraz szczury masowo migrujące w góry. Początkowo - w stanie wojennym - Ojciec wspominał o cieniu wychodzącym z kanałów na ulice. Później dostrzegał różowe ogony, tak przerażające piękną pleć, wspinające się po żółtych blachach elewacji naszych bloków. Gdzieś pod koniec lat dziewięćdziesiątych lub na początku nowego milenium zawołał mnie, pokazując ściągnięty z BBC reportaż o gniazdach oposów odkrytych w Pirenejach – choć nigdy wcześniej ich tam nie spotykano.

Podczas wycieczek za miasto śledził ścieżki wydeptane małutkimi łapkami, zmierzające na południe w stronę Pogórza. Gdy Arka była już na ukończeniu i nawet w mediach zaczęto mówić o dziwnym zachowaniu szczurów, których nieprzerwany potok opuszczał Wrocław kierując się ku Śnieżce, a gryzonie z Pomorza i centralnej Polski waliły całą chmarą w Karpaty, nasz Zaporoziec

stanął w środku nocy w połowie drogi. Zmęczeni po całym dniu lub tygodniu pracy nad Arką, w drodze do domu, który niebawem miał przestać być naszym domem, zatrzymaliśmy się na szosie. Ojciec wyłączył światła i nakazał nam siedzieć w milczeniu. Pomyślałem, że usnął. Zuza siedząca na siedzeniu obok zbliżyła ku mnie głowę. Zapach słodko-ostrych perfum ponownie wypełnił przestrzeń. Poczułem ciepło oddechu na uchu. Karminowe, zbyt mocno wymalowane usta już się otwierały, ale nim zdążyła spytać, co z Ojcem, ten dotknął mojej dłoni i lekko skinął głową w stronę pobocza. Wyglądało na to, że rozgwieżdżone niebo spadło już na Ziemię, wypełniając pola i łąki wokół. Bezmiar wszechświata przelewał się przez przydrożny rów, wdzierając się na asfalt. Cały Kosmos w swoim majestacie walił równymi szeregami galaktyk prosto na naszą trójkę uwięzioną w starym Zaporozcu. Tysiące błysków uporządkowanych przez samą naturę karnie i bezszelestnie oznajmiało koniec starego świata.

Zadrzałem.

Pochłonęła nas wieczność. Zrozumiałem skąd te odległe słońca wśród zagonów rzepaku, co to za poruszenie milionów światła na polach między Wrocławiem a Świdnicą, bo gdy tylko nieboskłon osiągnął linię samochodu, usłyszałem muzykę sfer niebieskich. Od tamtego wieczoru wieczność to dla mnie bezszelestny ogrom, docierający do ukraińskiej blachy, to rezonans dźwięków, wyzwalanych przez szczurzą armię, przez ogrom wojowniczych łap uderzających o karoserię. Przed nami, za nami i wokół nas płynęła żywa rzeka. Równiutkie szeregi szarych gryzoni maszerowały na południe. Wciąż na południe w ślad za wędrownymi ptakami. A my siedzieliśmy w aucie niczym na wyspie, bojąc się drgnąć, by nie zostać wykrytymi. Jeden głębszy oddech mógł nas kosztować życie. Sunące wokół zwierzęta przerażały i fascynowały. Ich zapach dochodził ze wszech stron. Szorstkie futra szeleściły ocierając się o wysłużone opony, a pazury darły lakier. Było w tej sytuacji coś groźnego i pięknego. Czułem się zupełnie tak, jak w Oławie, gdy Ojciec pokłócił się z poplecznikami Domańskiego, a wokół falował nieprzyjazny tłum. Wtedy uciekliśmy wywijając bronią i szkaplerzem. Przeklinając. Retoryką strzelając na wiwat. Tym razem te atrybuty nie zrobiłyby wrażenia na żadnym z przeciwników. Może udałoby się zastrzelić kilkanaście sztuk, co nie znaczyłoby nawet tyle, co parę kropel ujętych z oceanu. Niemal czułem ostre zęby na swojej szyi. Oczami wyobraźni widziałem szczurka wchodzącego przez rurę wydechową do wnętrza naszego auta. Imaginowałem jak przebija się przez moją skórę lub wspina się, by spróbować krwi z białych piersi. Spojrzałem na Zuzę. W panującej wokół ciemności zdawało mi się, że ma pobladłą twarz, jeszcze bledszą niż zwykle. W rozchylonych ustach trzymała kosmyk. W jej pocie czułem jak bardzo się boi otaczających nas zewsząd mas. Ten strach wyzwolił we mnie niespotykane moce. Gdyby nie tysiące lat ewolucji i odwaga szczurzych samców wciąż się rozmnażających, gdybyśmy siedzieli na kanapie wśród krzesel i innych wynalazków, nigdy nie odważyłbym się położyć dłoni na kolanie Zuzy. Krępowałbym się siedzącego zawsze nieopodal Ojca i konsekwencji, ale szczurzy urodzaj wokół tak na mnie podziałał, że przesunąłem rękę w górę. Czułem pod palcami mgiełkę rajstopy i bijący spod niej żar. A gdy Zuzia położyła swą dłoń na mojej, szczury znikły. Tak samo szybko jak się pojawiły, rozplynęły się w mlecznej mgle nocy. Zaraz potem dobiegł nas zbliżający się odgłos silnika. Tuż obok przemknęła osiemdziesięcotonowa ciężarówka. W ostatniej chwili zjechała na drugi pas, nie dostrzegając nas wcześniej, stojących na pustej, ciemnej drodze z wyłączonymi reflektorami.

Ojciec poderwał Zaporozca. Ruszyliśmy. Kierując się w stronę, z której uciekały nawet szczury – do Wrocławia.



Stanisław Karolewski Bilet na Arkę, Szarlatań 2012

FRAGMENT III

Wieczorem zgromadziliśmy się wokół elektrycznego grilla podłączonego do baterii w Nautilusie. Sojowe kiełbaski nie zaczęły jeszcze na dobre skwierczeć, jeszcze sos czosnkowy był nierozmieszany, a woda na herbatę dopiero zaczynała wrzeć, gdy trzasnęła gałązka. Potem druga, trzecia, dziesiąta, aż rozległ się rumor nie do opisania. - Najwyraźniej ktoś wlał w naszą zeribę, ignorując pojedyncze gałęzie rozrzucone u jej podstaw, pchał się prosto w środek wału.

- *Kurka! Porozkładali gałęziów jakby spodziewali się nosoroży!*

To leśny dziadek nie dawał za wygraną, albo do jego nozdrzy doszedł zapach przypalanej soi.

- *Prisiemy, tfu prosimy, prosimy –*

Ojciec chyba już zapomniał o swoich pilarskich sugestiach, albo ucieszył się myślą, że ktoś zje za niego sojowe przysmaki.

- *A piłę gdzie włożyli?*
- *Spoczywa spokojnie w moim namiocie. Chodźcie dziadku, mamy kielbaski.*
- *Chromolę wasze kielbaski – na trzy staje czuć, że to soja się wam pali, ale jak macie jeszcze tę piersióweczkę, co to tu krążyła uprzednio, to nie pogardzę.*

To mówiąc przedarł się wreszcie na drugą stronę wału. Otrząsnął się z gałęzi, liści, mchu i czego tam jeszcze. Dosiadł się do nas, dopełniając krąg wokół grilla. Z kufajki wyciągnął mosiężny kubek i zadysponował:

- *Nalejcie mi tu, dobry człowieku, odrobinę tego, co tam popijaliście.*

Spojrzałem na Ojca, kiwnął przyzwalająco głową. Wylałem pozostałą część piersiówki do dziadkowego kubka.

- *Ot, czort! Cierniopląt na wodzie! Co, wyście najpierw pozjadali rozumy, a teraz pozamieniali się z osłem czy inną parzystokopytną?*
- *Ciemioco? Tu wywar z Guarany dodaje sił dla ciała i ducha, a nie uzależnia.*
- *Cierniopląt Guarana, Paullinia cupana – zwana też osmętą oraz Guraraną właśnie, od plemienia Guarani, sporządzającego napój z jej nasion. Pnącze z mydleńcowatych, zielsko rosnące nad Amazonką i w okolicach. Podnosi stan aktywności fizycznej, jako i psychicznej, tak jak powiedziałeś młodzieńcze.*
- *A skąd to wiecie, dziadku?*
- *Jam je Jelinek, nie dziadek. A wy to pewnie Puszki.*
- *Pauszki, panie Jelinek. Teraz już nas całkiem zaciekawileś. Skąd wiesz jak się nazywamy?*
- *Ano zaraz wam powiem, ale nalejcie no mnie czegoś zdrowego, bo od tego, to mnie język sparcieje.*
- *Wyjąłem z Zaza gąsiorek ziółówki – jakby powiedział Jelinek: Cierniopląt, ale już nie na wodzie. Woziliśmy ją na nieprzewidziane okazje. Uznałem, że pojawienie się jegomościa za taką można uznać, a uszczuplenie zapasów patrolu będzie uzasadnione.*
- *Jo. Teraz lepiej. Wprawdzie nawrzucałi wy tam za dużo korzenia łyczoga, to i sikać się po tym będzie chciało, ale ducha przynajmniej czuć. Dolej tu jeszcze na dobrą konwersację i już zamawiam. Hondzlik ten żenaty z Weroniką mieli kiedyś pola, potem sprzedali, bo im się zechciało trafikę otworzyć, a na tym polu inspekt, a w środku Cierniopląt – jako żywo też tak wykrzywił język. Potem sprzedali też tę trafikę i zajęli się końmi na tym polu, które wtedy odkupił Anzelm. Polak, ale zasiedziały. A potem to chcieli znów na tych polach ZOO czy inne safari otwierać, bo tam już te rośliny wszystkie zostały.*
- *Panie Jelinek.*
- *Ano, polej tu jeszcze synku, bo coś czuję, że mi się język jeszcze nie oczyścił od tej wody. Co to ja miałem? –*

Tu nasz gość podrapał się po głowie –

- *Anzelm Polak, ale zasiedziały, to mocarz jak ich mało.*
- *Panie Jelinek, skąd wiesz jak się nazywamy?*
- *Coś mi się widzi, że za dużo Językopląta wypiliście. A na nerwy nie ma jak przedni duch. Młodzieńcze, polej i Panu Puszcze.*
- *Gadają ludzie we wiosce, że jakies pomyłone Polaki – Puszki kupiły tu ziemię i będą okręt budować. To przyszedłem popatrzeć, a może też przyda się ktoś do pomocy. W młodości trochę pływałem. Ojj, gdzie ja nie byłem – Wielka Rafa, Antarktyda, Amsterdam, Gdańsk, ehh. A potem się okazało, że ludzie już nie jedzą ryb. Jak to nie jedzą ryb? Spytacie. Słusznie. Ja też spytałem – jak nie jedzą już ryb? A kapitan mówi, że już się nie oplaca ryb łowić, teraz Chinole produkują ryby z proszku – na pasach transmisyjnych składają rybnie szkielety, spryskują mięsem w sprayu i malują plastikowe łuski. I ryba. Ryba. Za rybą ryba. Dziś łowienie to przeżytek Jelinku. Wracaj do swoich. To*

wróciłem, ale ze starych już nikt nie żył, a z młodymi ciężko było się dogadać. To rozmawiam z mrówkami i niedźwiedziami – przynajmniej one nie kupują plastikowego żarcia.

- Tu są niedźwiedzie?

- A jak! A ostatnio to nawet widziałem pandy.

- Pandy? Tu?

- No nie tu, tam za polem Hondzlika, co to je kupił Anzelm, Polak ale zasiedziały – bo oprócz Guarany miał tam i inne takie różne światowe rośliny i zwierzązki. Teraz już też się nie oplaca, koni i zebrów też już nie ma, ale przecież nie przerobił na puszki –

tu dziadek zarechotał z żartu –

- to rozlaży się zwierzązka po lasach. Rośliny też się poroznosiły. Tu na górze kwitną hibiskusy, a z kolei z tamtej strony zbocza, na cmentarzu w niecce, rosną kokosy – jak nie ma nic na zapitkę, to czasem bierze takiego kokosa, to co wyleci ze środka nawet się nadaje i leczy z kaca. A właśnie, przypomniałem sobie. Ludzie gadali, bo zastanawiali się co zrobicie z cmentarzem – czy będziecie odnawiać, bo to teraz modne pieniądze z Unii, a tam przecież oni leżą, czy spychacz i wszystko do ziemi, tam gdzie miejsce nieboszczków.

- Jaki cmentarz?

- Ano tu. Za zboczem.

Wyglądało na to, że Ojciec nie odrobił lekcji. Jego dokumenty i satelity nie powiedziały mu nic o austriackim cmentarzu na naszej ziemi.

- Pójdziemy rano obejrzeć, a teraz wybaczone Panie Jelonek, wybiła dwudziesta druga, a trzeba chodzić spać regularnie. To zapewnia właściwy metabolizm i prawidłowe funkcjonowanie, jak również dobry nastrój dnia następnego.

- Jam je Jelinek, nie Jelonek.

- Panie Sarenka, dobranoc.